

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 21. XII. 1928.

Nr. 9

JÓZEF CHELMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

24

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

Lorenz zaś ciągnął dalej:

— Jeszcze dzisiaj nocą wyruszyście w powiaty żeby porozumieć się ze swymi podwładnymi. To znaczy ty Pyra i ty Bielik. Franz wróci do wielkiego mistrza po dalsze rozkazy, ja pojedę do Torunia załatwić się ostatecznie z Suchockim.

W tej chwili rozległo się u drzwi wychodzących z sieni na podwórze głośne pukanie. Opryski skoczyli wszyscy na równe nogi. Na twarze ich wypełził strach, ręce i nogi mimowoli im zdrząły.

Wnet pojawiły się w ich ręku browningi.

— Uważać na mnie szepnął Lorenz. Ty Bielik idź zobacz, kto się tam dobija.

Minęła minuta trwożliwego oczekiwania. Bandytom nasuwało się natarczywie przypuszczenie, że to Suchocki zdążył ich już wytropić i teraz oto czywszy zagrodę wtargnie, żeby ich ująć i oddać w ręce sprawiedliwości.

Od czasu śmiałej ucieczki dedektywa zmorego jego prześladowała ich na każdym kroku.

Z oczyma wlepionymi w drzwi, za którymi zniknął Bielik, z palcami na cynglach, gotowi raczej oddać życie niżeli popaść w ręce Suchockiego, stali milczący.

Z sieni dolatywało niewyraźnie mamrotanie nadbiegł odgłos skrzypiących zawiasów, wreszcie Bielik powrócił, prowadząc za sobą młodego mężczyznę, pokrytego grubą warstwą pyłu. Widać było, że przybysz odbył daleką drogę i to forsowym nakazem.

Cieężko dysząc opadł na krzesło. Członkowie szajki poglądali na niego i na siebie w zdumieniu

— To brat, objaśniał Bielik, wylegitymował się należycie. Posiada nawet...

Przybysz w tym momencie rozpiął koszulę, na piersi jego zajaśniała duża złota gwiazda pięcioramienna.

Na ten widok Lorenz i towarzysze pochylili się w głębokim ukłonie, poczem Lorenz przemówił.

— Witamy cię mistrzu. Z tą chwilą władza moja przechodzi w ręce twoje.

— Drodzy bracia! odezwał się mistrz. Przybywam bo grozi nam na terenie Polski wielkie niebezpieczeństwo. Franz przywiózł Wielkiemu Mistrzowi dokumenta. Jakże pan, panie Lorenz, odebrał Warzesze. Wielki Mistrz przejrzał je dopiero po odjeździe Franza. I co się okazało? Dokumenty te nie są właściwymi. Kompromitujące nasze dokumenty pozostały w Polsce. Czy znajduję się w ręku Warzechy, czy w innym, to musimy bezwarunkowo stwierdzić i jak najprędzej je wydobyć.

Sądzę że dotychczas żaden z naszych wrogów o ich istnieniu nie ma pojęcia. Może się jednak zdarzyć, iż Suchocki je zdobędzie, wiecie jak węż ten pies posiada, a wtedy przegraliśmy na całej linii.

Poszukiwaniami zajmę się osobiście, a wyście postanowili?

Lorenz w krótkich słowach obznajomił mistrza tajemnego związku z planami pracy, nadanej przez siebie swoim podwładnym.

— Dobrze, bardzo dobrze, przytakiwał dostojnik. Trzeba rozpocząć ofensywę w kilku punktach równocześnie. Nawet taki Suchocki nie zorjentuje się odrazu w sytuacji, a choćby to nie wszędzie może być. Zresztą zamęt jaki tu sprawicie, odwróci uwagę władz od mojej działalności, którą będę musiał przedsięwziąć w Toruniu.

A teraz dajcie mi co zjeść, bom głodny i zmarnowany.

Wnet pojawiły się na stole co najlepsze przysmaki. Wszyscy członkowie szajki wespół z mistrzem zasiedli do stołu. On jadł łapczywie i dużo, gęsto i często popijając. Oni pomagali mu skrzętnie w wypróżnianiu butelek.

Przytem rozmawiali na temat swej niecnej akcji. W pewnej chwili Lorenz zaproponował:

— Pokażemy ci mistrzu nielada atrakcję, mianowicie nasze więzienie podziemne, w którym zamknęliśmy jeńców, zakładników i zdrajców.

— Słyszałem o tych waszych lochach podziemnych, odrzekł mistrz z uznaniem, i zawsze się dziwiłem, jakim cudem wam się udało w kraju nieprzyjacielskim tak doskonale się urządzać.

— Przy odrobinie sprytu, cuda można robić, mistrzu.

— A gdzie mieści się to więzienie?

— Tu, rzekł Lorenz, wskazując palcem na podłogę

— Tu, pod murami tej rudery? To niemożliwe!

— Prosimy cię mistrzu na inspekcję. Bielik światło!

Dziad poszukał w szufladzie komody kilka lampek elektrycznych i wręczył je swoim kolegom.

— Prowadź! rozkazał Lorenz.

Bielik w towarzystwie całej zgrai wyszedł na podwórze. Stąd podążył do szopy. W samym jej rogu odgarnął stertę słomy na bok i uniósł w górę szerokie drzwi leżące na podłodze. Przed oczyma obecnych ukazał się ciemny otwór, prowadzący do podziemnego lochu.

— Uwaga, panowie, rzekł Bielik. Ja pójdę pierwszy. Lecz proszę stąpać ostrożnie, gdyż schody choć kamienne i dość wygodne są bardzo strome.

Zagłębił się nogami w otworze, niezadługo cały w nim zniknął. Za jego przykładem poszli pozostali. Lampkami oświetlali stopień za stopniem i niebawem znaleźli się w wązkim korytarzu.

Zgęszczone stęchłe powietrze rzuciło im się w usta. Światło lampek padało mdłe i czerwone, uwidaczniając tylko maleńki krąg przestrzeni

— Świnia, tu chyba nie wytrzyma, bąknął mistrz.

— Dla tych polskich psów i to za dobrze, odparł Lorenz. Przyzwyczaili się widocznie czują się wcale nie źle.

Ruszyli dalej.

Po obu bokach korytarza mieściły się cele, oddzielone żelaznymi kratami. U sufitu każdej celi umocowana była rura, którą z ponad ziemi do pływało świeże powietrze. Ciemność panowała w celach najokropniejsza. Strasznie musiało być życie ludzi, jęczących tu w niewoli, dzień za dniem noc za noc mijaly a ci biedacy nie wiedzieli nawet, która to pora doby. Żaden promyczek słońca nie przeniknął do tych podziemi. Niby ślepcy nieszczęśliwi pozbawieni byli widoku rzeczy i przedmiotów. Dotyk zastępował im oczy.

Mistrz i jego otoczenie przystanęli przed celą w której leżał nagi mężczyzna na gołej, kamiennej posadce, przykuty łańcuchami za ręce i nogi do ściany. Ciało jego niczem nie różniło się od szkieletu z pod siwej skóry żebra wypychały się ciemniejszymi pręgami. Choć mężczyzna nie mógł liczyć więcej ponad trzydziścić lat, włosy jego były zupełnie siwe.

Leżał skurczony, z przymkniętymi oczyma. Nie zauważył nawet, że przygląda mu się znaczniejsze grono osób.

— Kto to? zapytał mistrz. Czy on żyje?

Lorenz objaśnił:

— To kapitan polski. Podczas walk powstańczych w Wielkopolsce wyrządził grenszucowi ogromne szkody. Przebrany za oficera niemieckiego obejmował samowładnie dowództwo nad jakimś oddziałem i prowadził go w ręce Polaków. Za jego przyczyną setki i tysiące naszych chłopców znalazło się w polskich obozach koncentracyjnych.

W końcu ptaszka przyłapaliśmy i zamknęliśmy go w tem więzieniu, o którym nikt nie wie i się nie dowie. Człowiek popadł w stan zupełnego otrętwienia i myślę, że najrozsądniej byłoby wy-

śląć go tam, dokąd się należy, to znaczy do Belzebuba.

Znowu postąpili kilka kroków i znowu za kratami widać było mężczyzn. w strzępach łachmanów. Obrosły na twarzy i ciele wydawał się być zwierzęciem. Siedział w kucki, opierając głowę na kolanach, a rękoma trzymając się za kostki.

Skoro spostrzegł Lorenza, poskoczył ku kratom i zaczął w nie walić pięściami, wrzeszcząc przeraźliwie:

— Ty djabie wcielony. Żeby cię ziemia pochłonięła. Każ mnie zabić, a nie dręcz mnie w tem piekle. Za moje krzywdy niech cię dosięgnie pomsta boża, żeby twoi rodzice w grobie nie zaznali spokoju.

Oczy więźnia gorzały ogniem obłąkania. Na usta wystąpiła mu piana. Popadł w paroksywizm wściekłości.

Lorenz w odpowiedzi na te przekleństwa, zdzielił zrozpaczonego nieszczęśliwca przez szpa krat pięścią w środek twarzy tak, że tenże runął jak długi na ziemię.

— Na drugi raz każę cię oćwiczyć, huknął zirytowany.

W ciągu dalszej przechadzki tłumaczył mistrzowi.

— To ów wywiadowca polski, o którym przed półtora rokiem pisały gazety. Wpadł już na nasze tropy i zdołał nawet wykryć starą chatę. Dostał się na szczęście zawczasu w naszą moc. Rzuciliśmy go do lochów, w prasie zaś rozpuściliśmy wiadomość, że zgłosił on się do naszego wywiadu, że zdradził wszystkie posiadane przez siebie tajemnice wojskowe polskie i że przeszedł na służbę naszą.

W Polsce wydano na niego wyrok śmierci. Nazwisko jego pokryte jest hańbą, gdyż panuje mniemanie, że to zdrajca swego kraju. Tu skończy życie.

Następnie przechodzili obok licznego szeregu cel napełnionych i mężczyznami i kobietami. Wszędzie oczy katów oglądały wynędzniałe postacie, robiąc wrażenie widem i wszyscy więźniowie cierpieli za gorliwą służbę dla swej polskiej Ojczyzny.

Jedni z więźniów witali swych dręczycieli całkowitą apatią, drudzy setkiem przekleństw i złorzeczeniem. Ci ludzie o kamiennych sercach jednak bynajmniej widzianymi wybuchami rozpacz się nie przejmowali. Przeciwnie śmiali się ze swych ofiar i z nich szydzili.

W zupełnie końcowej celi znajdowała się młoda dziewczyna cudownej piękności.

Ciąg dalszy nastąpi.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Matka królów

2)

Sonka tymczasem, gdy to mówił, zbliżyła się do stołu, sparała na nim i śmiało patrzyła mu w oczy.

— A pocóżście mnie szukać kazali? — spytała.

— Żeby wyłajać, — rzekł Witold, ale niezbyt surowym głosem i z półuśmiechem na ustach. Wyrosły ci skrzydła, lataasz i rwiesz się, szczególnie, gdzie młodzież się kręci. Radbym się zbyć ciebie, bo w końcu nie upilnuję, a lada złodziejowi bym cię dać nie chciał.

Sonka ramionami ruszyła, poprawiła włosy. Witold jadł spokojnie i mówił dalej powoli.

— Żebyś ty przynajmniej wdzięczną była za to, że cię tu jako własne chowałem dziecko. No-skarżyć się na mnie nie powinnaś?

— Alboż się skarżę?

— Hodowaliśmy cię troskliwie. Anna na rękę nosiła.

Popatrzył na nią, ona wzięwszy ze stołu jabłko, gryzła zadumana ogonek jego w ustach. Coś jej po głowie chodziło.

Wtem Witold, poważniejąc stopniowo, rzekł do niej.

— Dość bajania, Sonka! słuchaj mnie dobrze, chcę cię wydać za męża.

Dziewczę krzyknęło ale trudno było rozeznąć w tym głosie, radość czy przestach go wywołał.

Widac
wy mis
szego w
ktem ci
wieczor
przez O
bjaw po
Ojciec
Niedaw
roku w
akcja O
trzebn
w Chin
Wypre
Wtor
chińska
zwała
klarnety
Wyl
począł
sywał v
usposob
Wiel. m
jaznych
wódki,
także oc
bardzo i
gan — t
ciekawe
sprawac
cząją ju
po ukon

inne ar
kich w
na sahi
minow
kownicy
Na
sowan
myslu
Pk
skiej v
radny
24. 3. 2
Krajow
zmieni
pożyczy
zi, gdyż
ne tak
Pk
sji naa
kom. w
towego
boru d
Pk
rok 192
Pk
no stat
wszego
30 zł a
ku są v
zabudo
W sp
socki. S
Pk
tucie M
tuby z
sie tak
szcie da

Oczywiście zalotnemi a ciekawemi, nic nie mówiąc, pytać się zdawała.

— Za kogo?

— Żebyś ty rozum miała, do nógbyś mi paść powinna, aleś ty na pół dziecko, pół latawica.

Dziewczę nogą tupnęło.

— Mówże za kogo?

Witold kazał czekać długo, ważył coś.

— No, rzekł — jak przystało, za starego....

Wzdrygnęła się księżniczka.

— Nie chcę.

— Bo rozumu nie masz — odparł Witold.

— Nie tak mi pilno iść za mąż — rzekło dziewczę.

Witold się uśmiechnął i rękę podniósł do góry. Sonka rozśmiała się też trochę, ale wnet przybrała minę serjo.

Książę chleb łamał niecierpliwie, napił się wody, pomyślał znowu.

— Wiesz, że ja twojego szczęścia chcę — rzekł poważnie. — Bezemnie ty wielkiego nie zrobisz losu. Ojciec za tobą wiana w ziemi nie da, bo go nie ma, chyba koszulę, i sukienki, a krasę mieć będziesz w posagu. Weźmie cię małe książętko na Ruś, to już dla ciebie szczęście. Kto wie potem, jakie losy cię czekają na małym gródku, z którego brat lub swat wyżenie lada dzień. Oto los twój! A będziesz rozumiała, ja ci takiego męża dam, któremu królowe swatają, ale... stary.

W tej chwili Sonce przyszło na myśl proroctwo Mechy i pobladała; miał się tak rychło sprawdzić przepowiednia jej z koroną i łzami?

Witold się rozparł na siedzeniu, jedną ręką bijąc w stół, a patrząc na dziewczę zaciekawione już więcej, niż przelekłe.

— Staremu temu, który już trzy żony miał — rzek — ciebie chcę dać czwartą, abyś była królową. No, Jagielle polskiemu cię swatam!

Sonka tym razem krzyknęła głośniej, i oczy sobie zakryła białymi rękami. Na lzy jej się zbierało.

— Stary, prawda! — dodał Witold — ale Sonko, ty co się stroić lubisz, bawić i śmiać, królową być, kazać sobie pokłony bić, na twarz padać przed sobą, nie lepiejże jak na Rusi w pustym zamczku marnieć?

Dziewczę zadumane odjęło ręce od oczów powoli, słuchało z uwagą.

— Jagiello niemłody — ciągnął książę dalej — jeśli na niego co przyszło, kto wie, Polacy ci mogą młodego męża wyswatać, aby Brandenburczyka, którego Jadwidze przeznaczono, się pozbyć. Królową być, — warto coś za to zapłacić.... Klejnotów i sukienek, których jesteś żądna, będziesz miała do syta i ludzie ci się kłaniać muszą.

Dziewczę lzy już otarłszy, potrząsało tylko ramionami i głową. Witold usiłował odgadnąć, co dumiała i domyśleć się nie mógł.

— Ja wiem, ty rozumiesz, że takiej doli odrzucać nie można — mówił — znowu — ale ja cię też darmo nie posadzę na tronie! Ty mi tam jesteś potrzebna i to będziesz podstępowała staremu, co ja tobie.... Wszystko będziesz mnie winna, i ja od ciebie wierności wymagać mam prawo!

To mówiąc Witold wstał, popatrzył na swą wychowankę stojącą w zamysłach, i dodał:

— Idź — rzekł — pomyśl, com powiedział, a potem padnij mi do nóg i podziękuj, bo choć ze starym, wielka cześć i szczęście cię czeka.

Ze spuszczoną głową, nie odpowiedziawszy słowa, Sonka zwolna wysunęła się z jadalni.

A książę klasnął w ręce. Znak to był zwykle do przywołania sług lub oczekujących pisarzy. W przedsięwzięciu stojący na zawołanie Cebulka wsunął się cichymi krokami.

— Wygotuj list ode mnie — rzekł po chwili książę... Zaleć mu w nim Sonkę, sam z nim pojedziesz do Krakowa. Jagiello pewnie pytać się będzie, — zachwalaj mu dziewczę. Sam na sam z nim wprzód, nim on to Zbyszkowi i innym zwierzy, nabij mu dobrze głowę, że drugiej takiej na świecie niema, a z mojej ręki może ją wziąć śmiało. Rozumiesz?

Skłonił się Cebulka.

— List gotuj dziś, zrana mi go czytać będziesz a jechać trzeba co rychlej. Jak tylko się dowiedzą, że mu świta ożenienie, zewsząd rać będą dziewczęta i wdowy; a ja — ma - li żonę brać — muszę tam swoją postawić przy nim....

Raz jeszcze spojrzął na Cebulkę, który nie potrzebował słów wielu, ażeby pana zrozumiał. Miał już odchodzić gdy książę wstrzymał go.

— Z listem jadąc, — rzekł — staraj się go nie w Krakowie, gdzie nad nim czuwają, ale na łowach gdzie przydybać. Będziesz miał czas i swobodę dobrze mu Sonkę opisać. Potem mu już jej z głowy księża nie wybiją. Pośpiechu trzeba w tem jak w każdej rzeczy; wpyrzedzą nas stracimy wiele. Jeśli kiedy, to dziś mi należy mieć tam pomocnika bo wrogów ze strachu codzień rośnie.

Cebulka potajemnie został wyprawiony do króla, który naówczas w lasach około Łysej góry na łowach był. Zręczny poseł po drodze już, wstępując do gródków i miasteczek, starał się dostać języka o Jagielle....

Szczęściem dla niego, lasy zwierza pełne króla tu wstrzymywały. Nie bardzo też rad powracał do swej stolicy, gdzie go spornemi sprawy zbyt nękało, choć je zdawał chętnie na innych.

Obrachował się tak zręcznie Cebulka, iż pod noc, gdy Jagielle się na zamku spodziewano, wyprzedził go....

Z duchowieństwa i panów, których się obawiał Witold, podczas nikogo przy królu nie było, dwór tylko łowczy mnogi i różnych ludzi wiele, co radzi byli z niewyczerpanej szczodrobliwości dobrodusznego pana korzystać.

W izbie dla Jagielle przygotowanej z taką prostotą, do jakiej on był nawykły, pościel już skórąmi zaślana, ogień na kominie wielki i jadło stało w pogotowiu, aby wygłodniały mógł się pożywić.

Z Krakowa kilku komorników z listami od ra na siedziało. Z nimi razem przysiadł się Cebulka, na króla oczekując i rozmowom się ich przysłuchując. Sam on ledwie półsłowem jakim się odezwał. Dawał się im wygadywać, na zwierzenia się wyciągać, a pytany, zawsze mawiał, że o niczem nie wiedział. Późno w noc łowy wróciły, wozy za niemi zwierza pełne i król dobrej myśli, a głodny, rad ogniewi na kominie, pieczeni na misie i Cebulce, który mu się do stóp kłaniał.

Z Litwy posła zobaczywszy, aż mu się w pomarszczonych powiekach oczy zaśmiały, bo i w Krakowie, i gdziekolwiek był za swą Litwą tęsknił zawsze, a co mu nią pachło, choćby wrogię było, ciągnęło urokiem niewypowiedzianym. Tych braci, z którymi nieraz musiał krwawe staczać boje, nierad widział uciśnionych, a jeżeli mógł podać im rękę, gotów był zawsze to uczynić.

Zobaczywszy Cebulkę, śmiać się począł do niego i siadając za stół, stanąć mu kazał podle; zaraz o Witolda, o Wilno, o wszystko rozpytywać począł, takie nawet mieszając drobnostki, na któ-

re pisarz Witoldów odpowiadać nie umiał, lub nie śmiał. Rad mu był bardzo.

Cebulka, póki dwór ich otaczał, z listem od pana nie zdradził się, pokłon tylko przynosząc. Jagiello się tego domyślał łatwo, i po wieczerzy na pościel padłszy, dwór odprawił, Cebulkę zostawiając przy sobie.

— Z listem mnie do waszej królewskiej miłości pan mój posłał, ale pisanie to tajemne jest — odezwał się pisarz.

— Mówże, co w niem, boś ty je pewnie pisał sam uśmiechnął się król.

— Boleje księżę Witold bardzo, — mówił Cebulka, że w. miłości niebezpieczeństwo grozi.

Król się podniósł, spierając na łokciu, oczyma rzucił dokoła.

— Co? jakie?

— Od rzymskiego króla — mówił pisarz — bo to pan wielce chytry, kłamliwy i obłudny a cokolwiek czyni, tylko dla siebie, nie dla miłości czyjej.

— Witold go nie lubi — wtrącił zadumany Jagiello. — A przecie on mi wielkie ofiarował związki i korzyści.

— My o tem wszystkiem wiemy, przerwał z poszanowaniem Cebulka — ale jego się najwięcej bać należy, gdy takim dobrym się czyni... Księżę i o tem słyssał, a wie pewnie, iż rzymski król swatem chciał być.

Rozśmiał się Jagiello.

— Wie Witold wszystko — rzek — tajemnicy z tego nie robił Zygmunt. Córkę mi gotów dać, albo wdowę, królową czeską.

— A w obojgu zdrada tkwiła — dodał Cebulka. — Córka jego dziecięciem jest, na które by miłość wasza czekać nie mógł, nim dorośnie, czeska zaś królowa wdową jest...

— Witold nie chce, bym się ja żenił — przerwał król. Ja to wiem. No i biskupi, i Zbyszko wszyscyby mnie od małżeństwa chcieli odwieść. Witold...

— Księżę Witold właśnie zdania jest innego — żywo zawołał Cebulka, — i owszem chce i radzi, abys się miłość wasza żenił.

Król spojrział zdziwiony mocno.

— Możesz to być?

— Tak jest, i z tem mnie posyła — mówił pisarz.... Tylko Niemki, ani Węgierki, ani Czeszki wam nie radzi, ale starym obyczajem Rusinkę.

Król zwrócił się cały ku Cebulce, oczy mu poweselały.

— Niechże mi taką da! — roześmiał się — ale nie starą babę, tylko miłą krasawicę... a wesole ptaszę...

Pisarz dał królowi chwilę czekać i odezwał się, głos zniżając.

— Własną siostrzenicę, Sonkę Holszańską księżę Witold swata i rai. Dziewka to młoda i urody osobliwej, humoru wesołego, — dobra i piękna!

— Jagiello słucał z wielce natężoną uwagą.

— Mów, mów, — wołał — jak ona wygląda, bom ja jej nie widział od dziecka... Liczko jakie, oczy...

Cebulka z wolna opisywać zaczął. Słucał Jagiello ciągle wesół, aż się zachmurzył nagle.

— Taka, jak ta pierwsza, co jej pierścień na palcu noszę, — weschnął — taka jak tamta nie będzie...

— Miłościwy królu, ci co ją i tamtę widzieli — rzekł Cebulka — poświadczą, iż jej nie ustąpi, a weselszą jest, czego wam potrzeba, abyście po trudach mieli rozrywkę i wytchnienie przy niej.

— Mów jak Sonka wygląda?

Cebulka poczęł wychwalać na nowo, czując że już wyobraźnię króla nią zajął i że mu ją niełatwo z głowy wybija. Król słucał bardzo uważnie, a ilekroć pisarz przestawał mówić, wyczerpawszy pochwały, poruszał głową i pomrukiwał:

— Mów jeszcze co więcej?

Naostatek Cebulka mówić już nie miał co. Król się zamyślił.

— A będzie mnie ona miłowała? — westchnął ponuro, — bo to młode, a już nie taki...

Unikał widocznie nazwania siebie starym.

— Jakżeby tak dobrego pana nie miała kochać i nie być mu wdzięczną, że ją wyniósł nad wszystkie inne! — rzekł pisarz.

Jagiello dumał. Myśl zaślubienia krasawicy zajmowała go mocno; westchnął ciężko i podniósł zużone całodziennym trudem powieki.

— Jabym rad Sonkę wziął — rzekł powoli, wahając się — ale niemało z tem trudu będzie nim mi księża pozwolą. Oni się już domyślają, że mi swatają ze wszech stron, to też spokoju nie dają

odwodząc od małżeństwa. Zbyszek, to uparty człek jak żelazo, niczem go nie zyskać i nie przeprzeć. Wojciech także, krakowski biskup, wtóruje mu, ale ten chciwy jest, z nim sobie poradzę.

— W sprawach państwa — odparł Cebulka — trudno na to radzić, kiedy to w prawo przeszło, ale gdzie o żonę idzie, co komu do tego? Nie mogą zabronić ożenienia królowi.

— O! o! — przerwał Jagiello. Mądrzy to są ludzie! jak sami nie będą mogli, to posła do Rzymu stamtąd jak stary Papa nakiwa mi, muszę milczeć, a ja go potrzebuje, bo bez niego bym tych mnichów krzyżowych nie zgniół.

Głową poczęł kręcić. Cebulka milczał.

— Witold mi dobrze życzy — dodał — a ja go kocham jak rodzzonego... ale on tym mnichom daje się wodzić i teraz przeciw mnie pomaga, a drużbę trzyma z nimi...

Zmieszał się nieco poseł, bo czuł słuszność tych zarzutów; lecz musiał bronić swojego pana.

— Miłościwy królu! — rzekł — nie waśni się księżę Witold z Krzyżakami, ale przyjaźnić z nimi nie może. Pomni, on, co on sam od nich wycierpiał.

— Wrogami są i będą, choć się płaszczą przed nami — dorzucił król — a dla mnie wrogiem, kto z nimi trzyma.

Cebulka rad już był odwrócić rozmowę, bo się zbyt stała drażliwą, przbaknął więc znów o Sonce, aby nie dać królowi mówić o Krzyżakach. Udało mu się to i Jagiello poweselał zaraz.

— Cóż ja mam zanieść panu mojemu w odpowiedzi? — zapytał.

— Czekał do jutra — rzekł król po namyśle. — Jedź ze mną do Krakowa, tam odpowiedź otrzymasz. Rusinka mi się lepiej od innych uśmiecha, bo to swoja... jak moja matka była.

Przerwał mu powtórzone westchnienie.

— Idź spać, Cebulka, bo i mnie się już oczy kleją... a nikomu nie mów o Sonce!

Z tem się rozstali.

Nazajutrz, choć zapowiedziane były łowy w puszczy, zrana wstawszy, a raczej obudziwszy się, bo z łóżka rychło nie powstając, swoim obyczajem wylegiwał się Jagiello, nakazał szykować się do Krakowa...

(Ciąg dalszy nastąpi.)